

Dobre postanowienia na początek roku

Pierwszy dzień nowego roku kalendarzowego to czas nie tylko składania sobie nawzajem najlepszych życzeń, ale także czas osobistych podsumowań i robienia postanowień dotyczących zmian, które mają zapewnić lepszą przyszłość. Można ten zwyczaj podejmowania postanowień traktować z przymrużeniem oka, tym bardziej, że większość z nich faktycznie ma bardzo krótkie życie i znika z pola widzenia już w pierwszych dniach nowego roku. Z drugiej strony jednak mamy tu do czynienia z jakąś głęboką ludzką potrzebą, Człowiek musi od czasu do czasu ustanowić coś w rodzaju życiowego „punktu odcięcia”, który pozwoli pozostawić przeszłość, szczególnie tę nieprzyjemną, naznaczoną porażkami i ciosami losu. W ten sposób można niejako bez balastu zwrócić się ku przyszłości, otworzyć się na nowy czas i nowe możliwości. Człowiek potrzebuje tego powiewu optymizmu płynącego z przekonania, że oto można życie zacząć niejako od nowa.

Z punktu widzenia wiary chrześcijańskiej za tym powszechnym noworocznym zwyczajem kryje się bardzo istotna Boża pedagogia. Bóg chce zabrać człowiekowi niepotrzebne balasty i otworzyć go na nową łaskę. Jedną z przyczyn życiowego zmęczenia, przygnębienia, kryzysu, a czasem coraz głębszego zapętlenia w zło, jest tkwienie myślami w przeszłości, rozpamiętywanie porażek, pielęgnowanie urazów do tych, którzy nas skrzywdzili, irytacja nad postępowaniem innych: od niezbyt przyjemnych sąsiadów i współpracowników, poprzez kierowców (w przypadku pieszych) i pieszych (w przypadku kierowców), aż po lokalnych, krajowych i światowych polityków. Oczywiście nie da się całkowicie uwolnić człowieka od przeszłości i Bóg tego wcale nie zamierza czynić. Ale może uwolnić człowieka od fiksacji na tym z przeszłości, co było negatywne. Biblia daje w tej materii znakomitą radę: *Wszystkie troski wasze przerzucie na Niego, gdyż Jemu zależy na was* (1P 5,7). Dla katolika takim aktem przerzucenia trosk na Boga jest niewątpliwie przystąpienie do spowiedzi. Dzięki sakramentowi pokuty nieprzyjemna, dotkliwie bolesna i obciążająca przeszłość może zostać powierzona Bogu. Spowiedź to także miejsce, gdzie można na nowo doświadczyć, że Bogu rzeczywiście zależy na mnie. Sakrament pokuty wiąże się z podobnym poczuciem, jakie towarzyszy ludziom na początku nowego roku. Oto stare odchodzi i można je zamknąć, a otwiera się nowy czas. Podobnie też jak na początku nowego roku nieodzownym elementem sakramentu pokuty jest uczynienie postanowienia poprawy.

Żeby z takim postanowieniem nie było podobnie, jak z wieloma postanowieniami czynionymi w noc sylwestrową, musi ono spełniać kilka warunków. Musi być najpierw *konkretne*. Postanowienia typu: „Będę spokojniejszy” lub „Będę mniej pił” szybko znikają jak poranna mgła właśnie dlatego, że są za ogólne. Drugą cechą dobrego postanowienia jest to, że musi być *realistyczne*. To niewątpliwie bardzo istotne, by człowiek uświadamiał sobie dalekosiężne cele, które chce osiągnąć. Jednak zgodnie ze starym porzekadłem nawet najdłuższa droga rozpoczyna się od pierwszego kroku. Dlatego trzeba drogę ku osiągnięciu szczytnych celów rozpocząć od małego kroku w dobrym kierunku. I wreszcie dobre postanowienie musi *dotyczyć teraźniejszości*. Postanowienia, które najczęściej kończą się fiaskiem, to te, które rozpoczynają się od słów: „Od jutra...”. Dzisiaj – ten konkretny dzień, który właśnie trwa, jest odcinkiem czasu, który można objąć myślą i wolą, by ukształtować go zgodnie z podjętym postanowieniem. Chrześcijanin dostrzega w tym pragnieniu zmiany coś, co może okazać się decydujące: łaskę Bożą. Nie jest ona magiczną siłą, która umożliwiałaby dokonywanie jakichś gigantycznych życiowych skoków, ale jest mocą Bożą, która jest skuteczna zawsze wtedy, gdy człowiek postanawia wykonać kolejny krok w dobrym kierunku.

Istotnym elementem udanych postanowień jest także umiejętność cieszenia z małych zwycięstw, celebrowania ich jako niewielkich wprowadzie, ale jak najbardziej rzeczywistych sukcesów, które wskazują na to, że nie wszystko w życiu musi pozostać takim, jakim było do tej pory. Zanim upieczony zostanie końcowy, imponujący bochen chleba, trzeba się umieć zadowolić pieczeniem małych bułeczek. Taka postawa sprawia, że cała uwaga nie jest skoncentrowana na dalekim i – jak się wydaje – absolutnie nieosiągalnym ostatecznym celu, ani też człowiek nie skupia się na swoich dotychczasowych porażkach.

Niewątpliwie cała ta sprawa z noworocznymi (lub też związanymi ze spowiedzią) postanowieniami ma w sobie coś z taktyki przetrwania wobec nudy i ciężarów codzienności, zawiera też w sobie odrobinę sporą porcję autosugestii. W sumie jednak może się okazać skutecznym środkiem w ukierunkowaniu życia na zupełnie nowe tory, a przecież o to właśnie chodzi. Co zatem postanawiasz na początku nowego roku?

Luty 2018

„Góry wysokie! Co im z wami walczyć każe?”

Słowa tej niezwyklej piosenki „Budki Suflera” z 1975 r. krążyły niemalże automatycznie po głowie w dniach, w których rozgrywał się dramat na Nanga Parbat. W tej historii miesza się tyle przeciwstawnych emocji: sukces, ale okupiony śmiercią; bohaterstwo ratowników, ale pozbawione całkowitego zwycięstwa; uratowanie życia jednej osoby, ale także samotna śmierć innej; historyczny wyczyn i gorzka porażka; ekstatyczna radość i bezdenne smutek; podziw jednych i internetowy hejt innych.... Wśród wielu pytań, które w tych dniach publicznie stawiano, pojawiło się też i to: czy śmierć Tomasza Mackiewicza nie była wynikiem braku odpowiedzialności? Czy czasami nie zabrakło powściągnięcia ambicji i najzwyczajszego zdrowego rozsądku? Trudno odpowiedzieć na to pytanie, nie będąc himalaistą, obeznanym ze wspinaczką i warunkami, jakie panują na Dachy Świata. Jedynie ktoś, kto rozważyłby wszystkie czynniki, zarówno te obiektywne, związane z pogodą, przygotowaniem i wyposażeniem, jak i te subiektywne, związane z osobą tragicznie zmarłego himalaisty, jego historią życia i jego sytuacją rodzinną, mógłby stwierdzić, czy ta wyprawa była jednym z wielu wyczynów himalaistów i alpinistów, czy też była wyrazem niezdrowej ambicji i w ogóle nie powinna była się odbyć. Ostatecznie odpowiedź na to pytanie zna tylko Ten, który jako jedyny całkowicie bez lęku „spogląda w otchłanie i na cherubach zasiada” (Dn 3, 55).

Pod wpływem tego poruszającego doświadczenia można jednak zadać ogólniejsze pytanie: czy w kontekście rangi, jaką chrześcijanie nadają piątemu przykazaniu Dekalogu uprawianie sportów wysokogórskich nie jest niepotrzebnym, wręcz grzesznym narażaniem życia? Chociaż w dyskusji po tragedii na Nanga Parbat nie zabrakło również tego typu komentarzy, jednak trudno byłoby uznać, że wyrażają one prawdziwie chrześcijańskie spojrzenie na tę kwestię. Chrześcijański szacunek dla życia nie oznacza lekkiego odgradzania się od wszystkiego, co wymagające, a nawet czasem niebezpieczne. Wspinaczka wysokogórska i inne wymagające sporty nie mogą też być mierzone jedynie miarą natychmiastowych efektów. Dla wielu osób uprawianie ich jest elementem pracy nad sobą, sposobem na przełamywanie życiowych lęków oraz szkołą charakteru. Stawianie sobie wymagających celów i osiąganie ich, przekraczanie własnej niemocy i lenistwa, wytrzymywanie trudnych warunków i niepogód oraz wytrwałość w podjętej drodze – wszystkie te postawy, które stają się powoli cechami charakteru, mogą pozostawić bardzo dobre echo w rodzinnej i zawodowej codzienności. To, że najbardziej wymagający i niebezpieczny szlak w Polskich Tatrach, jakim jest Orla Perć, został wytrasowany przez katolickiego duchownego, ks. Walentego Gadowskiego, a wśród zdjęć bł. Pier Giorgio Frassatiego są też takie, które zostały zrobione na

wierzchołkach alpejskich szczytów, pokazuje, że trudno byłoby w oparciu o piąte przykazanie Dekalogu uzasadnić moralny zakaz tego typu aktywności.

Do tego zasadniczego „tak” dla wspinaczki wysokogórskiej, a także dla nurkowania, żeglarstwa, triathlonu i innych wymagających sportów, trzeba jednak dodać istotne dopowiedzenie. Uprawianie tego typu sportów będzie zgodne z etyką opartą na szacunku dla życia ludzkiego jedynie wtedy, gdy dzięki cnocie roztropności ograniczone zostanie ryzyko, jakie z tym się wiąże. Cnota roztropności pozwala odróżnić ambicję od próżności, pasję od obsesji, odwagę od brawury, rozsądek od głupoty. Będzie ona wskazywać różną miarę dla różnych ludzi, w zależności od kondycji fizycznej i psychicznej, doświadczenia, posiadanego sprzętu, a także stopnia odpowiedzialności za innych. Ostatecznie może się okazać, że wejście na Świnicę czy Rysy w naszych Tatrach w półbutach o gładkiej podeszwie, bez doświadczenia i przy niestabilnej pogodzie będzie bardziej problematycznie moralnie, niż zimowy atak na K2 w Himalajach w gronie doświadczonych wspinaczy i przy bardzo dobrym wyposażeniu i zabezpieczeniu. Istotny jest roztropny margines bezpieczeństwa, który będzie wyrazem troski o życie i zdrowie własne i tych, za których jest się odpowiedzialnym. Nie wolno go przekraczać tylko dlatego, że w grę miałyby wchodzić zaspokojenie ambicji, ucieczka od nudnej codzienności bądź też zaangażowanie znacznych środków finansowych w zorganizowanie takiej czy innej wyprawy. Wysokie góry są nie tylko dla odważnych, ale przede wszystkim dla rozważnych.

Marzec 2018

Polish Holocaust

Reakcja środowisk żydowskich w USA i Izraelu na uchwalenie przez sejm w styczniu 2018 r. ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej była dla wielu Polaków niemałym zaskoczeniem. W pierwszej chwili trudno było zrozumieć, o co właściwie chodzi. Po tygodniach medialnej i dyplomatycznej wymiany ciosów można i trzeba postawić pytanie, czy inicjatorzy tej ustawy właściwie ocenili jej reperkusje, czy przeprowadzono wystarczająco dogłębne konsultacje, czy pośpiech w procedowaniu nie stał się przyczyną nieprecyzyjnych i wieloznacznych sformułowań i czy polskie służby dyplomatyczne nie zawiodły w czasie burzy, jaka powstała po podpisaniu ustawy przez prezydenta RP. Niezależnie jednak od tego rodzaju wątpliwości pozostaje jedno niepokojące pytanie: Czy ktoś w miarę wykształcony i rozsądnie

myślące może twierdzić, że Polacy jako naród i Polska jako państwo jest współodpowiedzialna za Holokaust? Niedwuznacznie wynika to z podnoszonych przeciw ustawie zastrzeżeń, a także z takich emocjonalnych wystąpień, jak np. filmu, jaki amerykańska organizacja Ruderman Family Foundation opublikowała w sieci.

Pewnym pozytywnym efektem tego międzynarodowego skandalu jest odsłonięcie i ujawnienie źródeł ciągle powracającej medialnej narracji o „polskich obozach koncentracyjnych”, która to narracja właśnie przez wprowadzenie ustawy o IPN miała zostać napiętnowana. Okazuje się, że nie jest ona jedynie efektem potknięć czy ignorancji dziennikarzy i polityków, ale świadomie propagowaną wersją wydarzeń, jakie w czasie okupacji hitlerowskiej działy się w Polsce. Wiadomo teraz przynajmniej, z kim trzeba nawiązać poważny dialog.

Jak to zazwyczaj w takich przypadkach bywa, na tą medialną burzę składają się różne czynniki: są tu niewątpliwie obawy i zastrzeżenia ofiar Holokaustu, jest troska o historyczną pamięć narodu żydowskiego, w której Zagłada i towarzyszący jej antysemityzm stanowią tragiczne i niewymazywalne fakty, są jednak również bieżące polityczne interesy, jest ostatecznie również poszukiwanie medialnej sensacji.

Jakiegokolwiek stanowisko wobec tej bolesnej kwestii się zajmie, jedno wydaje się być pewne: nie wolno zapominać o wrażliwości ofiar, które doznały krzywd od tych Polaków, którzy przyczynili się do eksterminacji Żydów. Dla ofiar Holokaustu, które nierzadko były świadkami okrutnego wymordowania ich bliskich, historyczne rozróżnienia nie odgrywają żadnej roli, a Polska kojarzy się im z piekłem, które naznaczyło ich na całe życie. Ale jest i druga strona, po której też są ofiary, które doświadczyły równie tragicznych losów: polskie ofiary niemieckich obozów koncentracyjnych i prześladowań w okresie władzy komunistycznej. Tym, co ich boli, jest pomijanie w całym sporze *ich* wrażliwości, jakby Auschwitz było jedynie miejscem kaźni Żydów, a ofiary innych narodowości można było subsumować w określeniu „Nie-Żydzi” i potraktować jako w sumie nieistotne tło do tragedii narodu żydowskiego. Ze strony szeregowego Polaka irytuje również określanie antysemityzmem wszelkich prób wskazywania na współpracę samych Żydów nie tylko z niemieckimi oprawcami, ale także z sowieckim aparatem ucisku. Czasami w dyskusji odnosi się wrażenie, jakby świat dzielił się na dwie sterylne od siebie oddzielone kategorie ludzi: nieskazitelne żydowskie ofiary eksterminacji oraz tak czy inaczej uwikłanych w dokonanie Zagłady „innych”, wśród których Polacy mieliby stanowić niemałą część.

Niezależnie od tych obustronnych irytacji i dawnych, jeszcze niezabliźnionych ran i niemiłych doświadczeń we wzajemnych kontaktach, nie ma innej drogi, jak mozolna praca historyczna, prowadzona z należytą rzetelnością. Musi ona wydobyć na światło dzienne szeroki kontekst powstania i rozprzestrzeniania się antysemityzmu w Europie, nieszczęsny wkład chrześcijan różnych narodowości i rządów chrześcijańskich państw w propagowanie postaw antysemickich, a także przypadki współudziału Polaków w samym planie całkowitej zagłady Żydów w Europie. Ale badania te muszą też odkryć całą prawdę o ciemnych stronach historii środowisk żydowskich, np. o bierności amerykańskich Żydów wobec alarmujących informacji z Europy w czasie trwania Holokaustu, przekazanych przez takie osoby, jak Jan Karski. Musi być nazwane po imieniu również postępowanie żydowskich sędziów, prokuratorów czy ubeków, którzy mordowali Polaków w czasach stalinowskich.

Brak zgody na takie dogłębne i oparte na prawdzie badania historyczne oznaczałby próbę wykorzystania historii do partykularnych politycznych celów, po którejkolwiek ze stron konfliktu miałoby to miejsce. Bez tego typu badań droga do pojednania i zabliznienia ran, a także do wspólnej pamięci o losie Żydów w historii Europy i świata – ku przestrodze kolejnych pokoleń – zostałaby na długie lata ponownie zamknięta.

Kwiecień 2018

Największy *fake news* w historii

Pojęcie *fakt medialny* przyjęło się już na dobre w języku polskim. W odróżnieniu od *faktu rzeczywistego* (jakkolwiek pachniałoby to tautologią), fakt medialny jest produktem kogoś, komu zależy na skutecznym rozpropagowaniu informacji, wyjaśnienia czy poglądu w jak najszerszym kręgu odbiorców. Podobne do niego pojęcie *fake news* wskazuje na informację, która jest wprawdzie zupełnie fałszywa, jednak potrafi tym mocniej zagnieździć się w umysłach odbiorców, im bardziej odpowiada ich oczekiwaniom i wydaje się być racjonalna.

Chociaż w czasach Chrystusa nie było mediów, a tym bardziej mediów społecznościowych, które potrafią bardzo skutecznie przekazywać wszelkiej maści *fake newsy*, to jednak była poczta pantoflowa i była powszechna opinia społeczna. Trudno się więc dziwić, że zadziałały tu takie same mechanizmy, które działają dzisiaj. „Rozpowiadajcie tak: Jego uczniowie przyszli w nocy i wykradli Go, gdy spaliśmy. A gdyby to doszło do uszu namiestnika,

my z nim pomówimy i wybawimy was z kłopotu” (Mt 28, 13-14). W ten sposób został wyprodukowany największy fakt medialny w historii. Jego wytworzenie było potrzebą chwili. Warto wejść na chwilę w sposób myślenia jego twórców. Pospieszne uśmiercenie Jezusa z Nazaretu tuż przed Paschą miało raz na zawsze rozwiązać problem tej wielce niewygodnej postaci. Skala zamętu, będąca pokłosiem Jego popularności wśród zwykłych ludzi, była zbyt duża, by móc ją zignorować. Jednocześnie niektóre Jego wypowiedzi mogły zostać wykorzystane do tego, by zasugerować Rzymianom potencjalne niebezpieczeństwo niepokojów społecznych, a w tej kwestii rzymskie władze okupacyjne były bardzo wrażliwe. Tymczasem jednak zamiast ostatecznego rozwiązania „kwestii Jezusa” sprawy przybrały jeszcze bardziej niepokojący obrót. Wieść o Jego zmartwychwstaniu, mimo precyzyjnego stwierdzenia jego niewątpliwego zgonu na krzyżu, mogła wyrządzić szkody nie do przewidzenia. Powodzenie nowo wyprodukowanego faktu medialnego opierało się z jednej strony na bardzo przemyślanej strategii: pieniądze – i to niemałe – wręczone strażnikom powinny skłonić ich do bycia skutecznymi multiplikatorami, dzięki którym *fake news* trafi pod strzechy. Była też obietnica rozmowy z namiestnikiem, który dzięki temu nie powinien stwarzać problemów. A gdyby to nie przekonało strażników, to powinni wyczuć zawartą w tej obietnicy groźbę. Bo przecież z namiestnikiem można też inaczej porozmawiać, sugerując np. by nie certolił się z rozkojarzonymi strażnikami. Z drugiej strony powodzenie tego faktu medialnego było wynikiem tego, że został on skrojony dokładnie według oczekiwań tzw. opinii publicznej. Mogła ona teraz ponownie odsapnąć. Skoro plotki zmartwychwstaniu Jezusa z Nazaretu miały się okazać jedynie nieudolną próbą oszukania społeczeństwa ze strony Jego uczniów, to ostatecznie nie trzeba się niepokoić i przejmować Jego nauką. Wszystko może pozostać jak dotychczas. I można spokojnie pozwolić, by patyna czasu pokryła tą Dobrą Nowinę, którą – trzeba to przyznać – z niezwykłą siłą przekonania głosił prorok z Nazaretu....

Opowiadając tą historię Ewangelista Mateusz dodaje swój komentarz: „I tak rozniosła się ta pogłoska między Żydami i trwa aż do dnia dzisiejszego” (Mt 28, 15b). Trudno się dziwić, że i dzisiaj w czasie wielkich chrześcijańskich świąt – szczególnie Wielkanocy – pojawiają się na portalach internetowych i w tygodnikach opinii różne odmiany tego dawnego *fake newsa*: historie o znalezieniu doczesnych szczątków Chrystusa bądź nawet o pozornej śmierci Chrystusa na krzyżu i Jego dalszym ukrytym życiu w Indiach lub jeszcze gdzie indziej. I wielu będzie je brało za dobrą monetę, bo są to wyjaśnienia, które o wiele bardziej pasują do wykształconego i nowoczesnego umysłu, niż jakieś zupełnie niezrozumiałe i dziwaczne wieści o tym, że Ukrzyżowany powstał z martwych. I chyba dobrze, że tak właśnie pozostaje. Że

również po zmartwychwstaniu Chrystusa nie ma namacalnych dowodów prawdziwości Jego Ewangelii, które zmuszałyby wręcz umysł największego nawet sceptyka do wiary w Niego. Wiara pozostaje wiarą. Chociaż nie jest postawą irracjonalną, wymaga kroku w nieznaną – wbrew coraz to nowym *fake newsom* i medialnym faktom. Wymaga kroku w obszar, gdzie nie sięga już ludzki rozum; w obszar, który dla rozumu może być jedynie nieprzeniknioną ciemnością.

Coroczne, naznaczone niezwykłą głębią i przejmującą ceremonie Wielkiego Tygodnia, po których w Wigilię Paschalną wybucha radosne „Alleluja”, są odpowiedzią wierzących na wszystkie *fake newsy*, produkowane przez wieki. I niezmiennie chrześcijanie pozdrawiają się i będą się pozdrawiali dawnym okrzykiem: „Chrystus zmartwychwstał! Prawdziwie zmartwychwstał”.

Maj 2018

„Pan chce od nas wszystkiego” (GE 1)

Papież Franciszek przyzwyczał już świat do swojego niekonwencjonalnego języka, nie tylko w ramach codziennych homilii w Domu św. Marty czy przypadkowych spotkań z dziennikarzami, ale także w oficjalnych dokumentach, będących wyrazem nauczania Magisterium. Taką specyfikę ma także najnowsza papieska adhortacja zatytułowana *Gaudete et exultate*. Dokonany przez Franciszka wybór tematu może w pierwszej chwili zaskakiwać: papieskie napomnienie nie dotyczy tym razem ani spraw socjalnych, ani też tematów kontrowersyjnych, ale powołania do świętości.

Sposób, w jaki Franciszek podchodzi do tego zagadnienia pokazuje jednak, że papież wcale nie chce wgłębiać się w teologiczne dywagacje, które nie dotyczałyby codzienności. Wręcz przeciwnie, pragnie pokazać, że właśnie kwestia świętości – jak żadna inna – dotyczy codzienności, a poprzez nią samego sedna i sensu ludzkiego życia. To że Bóg oczekuje naszej świętości oznacza Jego nadzieję, że „nie zadowolimy się życiem przeciętnym, rozwodnionym, pustym” (GE 1).

Od razu na początku papież bardzo mocno wskazuje na *zwyczajność* drogi świętości. Ta zwyczajność nie oznacza przeciętności i niedbalstwa w życiu duchowym, ale oznacza to, że prawdziwa świętość nie musi się wiązać ani ze spektakularnymi czynami, ani ze szczególnym zawodem czy sposobem życia, ani z eksponowaną pozycją w Kościele. Zwyczajność oznacza,

że drogą do osiągnięcia świętości są codzienne prace, obowiązki i czynności, choćby miały być zupełnie niedoceniane przez otoczenie. Papież przytacza w tym kontekście doświadczenie kard. Francois-Xaviera Nguyen Van Thuan, który w czasie swojego uwięzienia postanowił „dokonywać zwykłych czynów w niezwykły sposób” (GE 17).

Papież pokazuje także *indywidualność* drogi świętości. Jak pisze Franciszek, świadectwa życia wielkich świętych stanowią wprawdzie pomocną motywację, nie są jednakże wezwaniem do kopiowania ich. „Liczy się to, by każdy rozpoznał swoją drogę i wydobył z siebie to, co najlepsze, to, co najbardziej osobistego Bóg w nim umieścił” (GE 11). Świętość to otwarcie całego życia na Boga, tu i teraz. To wybór Boga ciągle na nowo, mimo porażek i grzechów.

Droga świętości – to zdaniem Franciszka droga małych kroków: świętość wzrasta „przez małe gesty” (GE 16). To droga zwracania uwagi na szczegóły, co jest wyrazem postawy kogoś, kto kocha. Może to być możliwe nawet wtedy, gdy człowiek poprzez swoje niewłaściwe wybory zmarnował dużą część swojego życia, jeżeli tylko postanawia, by pozwolić na owocowanie łasce własnego chrztu.

Jak to zazwyczaj bywa w oficjalnych dokumentach, również w najnowszej adhortacji papieża Franciszka są fragmenty bardziej udane i inspirujące, jak i takie, które są mało zrozumiałe czy też mniej istotne. Do tych pierwszych należy niewątpliwie papieska medytacja dotycząca ośmiu błogosławieństw (GE 67-94). Są one tak centralne dla chrześcijańskiej duchowości, że papież nazywa je „dowodem tożsamości chrześcijanina” (GE 63). Wskazują one na ewangeliczny styl życia, który chwilami bywa całkowicie odmienny od tego, który proponuje świat, co sprawia, że chrześcijanin, który pragnie żyć duchem błogosławieństw, będzie szedł pod prąd modom i tendencjom społecznym. Franciszek nie dokonuje tu teologicznej egzegezy tekstu błogosławieństw zawartego w Ewangelii Mateuszowej, ale prowadzi refleksję biblijną zmierzającą do wskazania sedna postawy, o którą chodzi Jezusowi. Jednocześnie papież podkreśla z naciskiem, że droga świętości, jaką jest życie duchem błogosławieństw nie może zapominać o życiodajnym związku z Jezusem. Nie chodzi tu o jakiś program pracy nad sobą, ale o owoc relacji z żywym Bogiem. Musi ona też znaleźć swoje odzwierciedlenie w zaangażowaniu społecznym. „Nie możemy wyznaczać sobie ideału świętości, który pomijałby niesprawiedliwość tego świata” (GE 101).

Chociaż to, co mówi papież nie jest nowe – gdyż stanowi klasyczną wykładnię chrześcijańskiej duchowości –, to nowy jest niewątpliwie prosty i zrozumiały język, a także pewne specyficzne rozłożenie akcentów. Elementem świętości, który papież szczególnie

akcentuje, jest ewangeliczna łagodność. Nie jest ona wyrazem kapitulacji wobec naporu zła, ani też kalkulacji, obliczonej na zrobienie wrażenia na otoczeniu. Jest to raczej wyraz wewnętrznego pokoju i stabilności płynących z pewności, jaką daje wiara. Łagodność jest reakcją serca, które zostało „uspokojone przez Chrystusa, uwolnione od owej agresji, która wypływa z wyolbrzymionego *ja*” (GE 121).

Gaudete et exsultate to tekst, który można polecić każdemu, kto odczuwa tęsknotę za rozwojem duchowym, za życiem pełniejszym i głębszym; każdemu, kto tęskni do świeżości, jaka płynie z Ewangelii.

Czerwiec 2018

Irlandia wzięta

To określenie, rodem raczej z dawnego języka wojskowego, oddaje jednak dobrze to, co wydarzyło się na Zielone Wyspie, a skutkiem czego był wynik ostatniego referendum. Irlandczycy mieli zdecydować, czy zgadzają się na usunięcie obowiązującej od 1983 r. tzw. ósmej poprawki do irlandzkiej konstytucji, która gwarantowała poczętym dzieciom takie samo prawo do życia, jakie przysługuje ich matkom i innym dorosłym Irlandczykom. Poprawka ta była ostatnią tamą, chroniącą życie poczętych dzieci. Po jej usunięciu nic nie stoi już na przeszkodzie, by parlament mógł uchwalić liberalną ustawę dopuszczającą aborcję, co już zostało zapowiedziane przez rządzących.

Sama porażka idei ochrony życia poczętego nie byłaby w dzisiejszym świecie niczym dziwnym, gdyby nie jej skala: znacznie ponad sześćdziesiąt procent Irlandczyków opowiedziało się za aborcją, obrońców dzieci poczętych było nieco ponad trzydzieści procent. Liczba Irlandczyków popierających aborcję okazała się więc podobna do odsetka społeczeństwa, który poparł kilka lat temu zmiany w rozumieniu małżeństwa i rodziny. W ich wyniku uznano możliwość zawierania legalnych małżeństw (nie tylko związków partnerskich) przez pary jedнопłciowe.

Można zadać pytanie, co wydarzyło się z tym, niegdyś przecież głęboko katolickim krajem, z którego wyszły całe zastępy duchownych i osób konsekrowanych, pracujących na wszystkich kontynentach świata? Jednym z czynników była niewątpliwie znacząca zmiana warunków gospodarczych, która w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu zmieniła radykalnie standard życia wielu szeregowych mieszkańców tego kraju, określanego nie tak dawno ze

względem na dynamikę rozwoju gospodarczego „Tygrysem Europy”. Ten fakt należałoby w zasadzie postrzegać zdecydowanie pozytywnie, jednak taka zmiana wiąże się zawsze z wyzwaniem skierowanym do wolności jednostki. Mieszkańcy kraju zapóźnionego, który dokonuje znacznego kroku w kierunku dobrobytu, muszą poradzić sobie ze specyficznym rodzajem kompleksu, który może objawiać się intensywną potrzebą wykazania się przed rozwiniętą resztą świata postawą postępową także w dziedzinie obyczajowości. Potrzeba uzyskania uznania i przynależności do społeczeństw do tej pory podziwianych, ale z różnych względów nieosiągalnych, staje się motorem działania. Nieco upraszczając, można stwierdzić, że na poziomie społecznym mamy do czynienia z podobnym mechanizmem, jak ten, który sprawia, że młodzież ze środowisk wiejskich, rozpoczynając studia w wielkim mieście, wykazuje czasami postawy o wiele bardziej liberalne, niż ich miejscy rówieśnicy.

Jednak to nie wyjaśnia wszystkiego. Trzeba wziąć także pod uwagę rozmiar skandali pedofilskich z udziałem duchownych. Chociaż te przypadki, jak w każdym innym kraju europejskim, zostały skrzętnie wykorzystane medialnie przez środowiska wrogie Kościołowi, to jednak nie ulega wątpliwości, że ich skala w Irlandii, doprowadziła do całkowitej utraty autorytetu Kościoła. Tolerowanie tego poważnego zła oraz brak otwartej konfrontacji z tym problemem ze strony pasterzy Kościoła, sprawiły, że wraz z utratą zaufania wielu odwróciło się także od klasycznych katolickich postulatów, do jakich należy troskę o rodzinę i ochronę życia poczętego. Zjawisko to, jak się wydaje, jest szczególnie widoczne w pokoleniu młodych Irlandczyków, które, jak wielu twierdzi, zostało dla konsekwentnej wiary w Chrystusa stracone. Ten obraz byłby oczywiście jednostronny, gdyby się nie dostrzegło i nie doceniło tej wcale niemałej liczby (ponad trzydzieści procent społeczeństwa!) Irlandczyków, którzy mimo tych wszystkich społecznych i wewnątrzkościelnych trudności odważnie opowiedzieli się za życiem nienarodzonych, nie zawsze, niestety, wyraźnie wspierani przez pasterzy Kościoła. Ich postawa musi budzić szacunek i podziw i jest iskrą nadziei na przyszłość.

Konsekwencje decyzji, jaką podjęło społeczeństwo irlandzkie sięgają daleko poza granice Zielonej Wyspy. Umacniają one w Europie front proaborcyjny, popierany także przez ponadnarodowe instytucje europejskie i wpływowe kręgi finansowe. Różnice w warunkach niezbędnych do jej przeprowadzenia, wprowadzone przez poszczególne państwa, można uznać za drugorzędne. Generalnie w większości krajów europejskich aborcja jest dostępna w czasie pierwszych trzech miesięcy ciąży, a w określonych przypadkach nawet poza tym terminem. Ustawodawstwo polskie, obok maltańskiego, w wyraźny sposób odstaje od standardów przyjętych w pozostałych krajach europejskich. Można przypuszczać, że naciski

medialne i instytucjonalne na Polskę zostaną zintensyfikowane. Świadomość bycia outsiderem wśród pozostałych Europejczyków uruchomi niewątpliwie także w wielu Polakach kompleks niższości i pragnienie nie okazania się tak beznadziejnie konserwatywnym, by opowiadać się za ochroną życia poczętego. Jasna postawa oraz czytelne, skutecznie promowane argumenty będą niewątpliwie istotne w tej batalii, której należy już wkrótce oczekiwać. Jednak nie można zapomnieć także o tym, że głos na rzecz ochrony nienarodzonych, którego twarzą jest Kościół katolicki, będzie tylko wtedy słuchany i brany pod uwagę, jeśli będzie reprezentowany przez wiarygodnych głosicieli. Czyściec, przez jaki przechodzi Kościół irlandzki, trzeba niewątpliwie postrzegać jako ostrzeżenie dla Kościoła w Polsce.

Lipiec 2018

Gdy terapia staje się daremna

Problematyka niewdrażania (*withholding*) lub też zaprzestania (*withdrawing*) działań terapeutycznych w przypadku, gdy stan pacjenta wyklucza nadzieję na jakąkolwiek poprawę zdrowia, zawsze była jednym z kluczowych zagadnień bioetycznych. Ale też zawsze było to zagadnienie bardzo kontrowersyjnie dyskutowane. Podczas gdy dla jednych wycofanie się z terapii nieskutecznej, a przy tym bolesnej i dokuczliwej dla pacjenta jest nakazem moralnym podyktowanym szacunkiem dla chorego, inni wskazują, że może to oznaczać odrzucenie podstawowej wartości życia, co niebezpiecznie przypomina mentalność proeutanazyjną.

Tematyka ta została omówiona w stanowisku zespołu ekspertów ds. bioetyki przy Konferencji Episkopatu Polski, które opublikowano pod koniec czerwca 2018 (<http://episkopat.pl/zespol-ekspertow-kep-ds-bioetycznych-zaprzestanie-terapii-daremnej-nie-moze-byc-utozsamiane-z-eutanazja/>). Jest to bardzo wyważony dokument o dosyć ogólnym charakterze. Od razu w pierwszym zdaniu tego dokumentu przypomina się i podkreśla zasadę, która pozostaje podstawą wszelkiej chrześcijańskiej bioetyki: *Życie ludzkie jest wartością podstawową i niezbywalnym dobrem*; stąd należy mu się bezwzględna ochrona od poczęcia do naturalnej śmierci (pkt 1). Jednocześnie jednak przypomniana zostaje inna fundamentalna prawda o ludzkim życiu: w swoim doczesnym wymiarze jest ono przemijające. Śmierć musi być traktowana jako ostatni akt życia i jak całe ludzkie życie powinna zostać przyjęta i przeżyta z godnością.

Te stwierdzenia wpływają najpierw w sposób zasadniczy na etos pracowników służby zdrowia. Zdecydowane „nie” wobec każdej formy zamierzonego odbierania życia istocie ludzkiej – w jakimkolwiek stanie zdrowia by się znajdowała – idzie tu w parze z imperatywem spokojnego i pozbawionego postawy uporczywości terapeutycznej towarzyszenia tym osobom, którym zgodnie z lekarskim doświadczeniem nie można już pomóc i których życie się kończy.

W oficjalnych dokumentach Magisterium Kościoła katolickiego unikało się do tej pory terminu „terapia daremna” (*futile therapy*), być może z tej racji, iż zdaje się on sugerować podejście utylitarne, związane z ocenianiem jakości życia rozumianej jako kluczowe kryterium etyczne interwencji lekarskich. Zastępowano ten termin takimi wyrażeniami, jak „upór terapeutyczny” (*therapeutic obstinacy*), „agresywne działanie medyczne” (*aggressive medical treatment*) czy też „działanie nadgorliwe”, (*overzealous treatment*). Sens tych wyrażeń jest jednak podobny. Kościół zawsze twierdził, że wobec zbliżającej się nieuchronnej śmierci godziwe jest odstąpienie od działań medycznych nieskutecznych, nieproporcjonalnych i kosztownych, które mogłyby przynieść jedynie tymczasowe i uciążliwe przedłużenie życia, nie zaprzestając jednak tzw. opieki podstawowej, do której należy dostarczanie pokarmu, nawadnianie i ułatwianie oddychania. Celem działań lub zaniechań lekarza, który pragnie wykonywać swoje powołanie do służby ludziom chorym w duchu chrześcijańskim, nie powinno być ani skracanie, ani sztuczne przedłużanie życia osoby chorej i umierającej, ale towarzyszenie i wspieranie naturalnych procesów życiowych, jak długo będzie to z medycznego punktu widzenia możliwe i celowe.

W dokumencie zwrócono uwagę także na to, iż brak decyzji o zaprzestaniu działań uporczywych lub daremnych budzi wątpliwości moralne, gdyż może przyczynić się do przedłużania agonii pacjenta i może być związany z dostarczaniem mu dodatkowych cierpień. Ważne jest również to, by lekarz nie traktował śmierci lekarza jako osobistej porażki, której mimo zastosowania wszystkich możliwych środków, jakie daje technika medyczna, nie udało się zapobiec. Żaden człowiek, a w tym wypadku żaden lekarz, *nie jest panem i sędzią życia, lecz jego wiernym stróżem*, stwierdzono w pkt. 11 stanowiska.

W dokumencie nie ma odniesienia do szczegółowych problemów w praktyce szpitalnej. Sytuacje kliniczne nieraz stawiają personel lekarski wobec prawdziwych dylematów moralnych. Czasami to, czy dane działanie bądź zaniechanie jest jeszcze zaprzestaniem terapii uporczywej czy też już aktem biernej eutanazji, będzie zależało od intencji osób opiekujących się chorymi. Jednak świadomość granic terapii oraz tego, że z chrześcijańskiego punktu

widzenia istnieje moralnie dopuszczalne i uzasadnione przerwanie terapii lub jej nie wdrażanie oraz pozwolenie na śmierć w sytuacji, gdy jest ona nieuchronna i nie można jej na dłuższą metę zapobiec, może być pomocna dla wielu wierzących pracowników służby zdrowia oraz rodzin osób, które znajdują się na ostatnim odcinku swojej życiowej drogi.

Sierpień 2018

Kara śmierci sprzeczna z godnością człowieka

Ćwierć wieku po ogłoszeniu przez Jana Pawła II *Katechizmu Kościoła Katolickiego* papież Franciszek postanowił na nowo sformułować kościelne nauczanie dotyczące kary śmierci. Zmiana ta została uzasadniona rosnącą w Kościele powszechnym świadomością szacunku dla każdego życia ludzkiego, także dla życia osoby, która dopuściła się ciężkich przestępstw. Jak to już podkreślał Jan Paweł II, nawet morderca nie traci swojej osobowej godności, gdyż nie przestaje być osobą stworzoną przez Boga.

Sam fakt zmiany tekstu *Katechizmu Kościoła Katolickiego* nie jest niczym nadzwyczajnym. Kilka lat po opublikowaniu pierwszej wersji Katechizmu, w roku 1998, Stolica Apostolska wprowadziła szereg zmian w jego tekście, publikując tzw. *Corrigenda*. Ciekawe jednak jest to, że wtedy także dokonano istotnych zmian w tekście numerów dotyczących kary śmierci.

W pierwotnym tekście *Katechizmu* z 1992 roku kwestia kary śmierci omówiona została w kontekście problemu uprawnionej obrony. Katechizmowy tekst wskazywał na legalność stosowania przez państwo sankcji wobec przestępców nie wyłączając kary śmierci w przypadkach najwyższej wagi (nr 2266). W ramach wprowadzonej w 1998 r. korekty wyłączono kwestię kary śmierci z tekstu powyższego numeru dotyczącego stosowanych przez państwo sankcji i przeniesiono do następnego numeru 2267. Wskazano wprawdzie, że *tradycyjne nauczanie Kościoła nie wyklucza zastosowania kary śmierci, jeśli jest ona jedynym dostępnym sposobem skutecznej ochrony ludzkiego życia przed niesprawiedliwym napastnikiem*, jednak kara śmierci nie była już tu elementem regularnego zestawu sankcji wymierzanych przestępcom, a była postrzegana jako kara absolutnie nadzwyczajna. Dodatkowo punkt ten został uzupełniony przez fragment tekstu encykliki Jana Pawła II *Evangelium vitae*, w którym papież stwierdzał, że przypadki absolutnej konieczności usunięcia sprawcy są *bardzo rzadkie, a być może już nie zdarzają się wcale* (EV 56).

To ostatnie stwierdzenie, wypowiedziane wtedy przez Jana Pawła II jako ostrożne przypuszczenie, może być dzisiaj – jak zdaje się twierdzić papież Franciszek – podtrzymane i potwierdzone z całą pewnością, co skłania do uczynienia kolejnego kroku. Najnowsze brzmienie katechizmowego numeru 2267 składa się z trzech elementów. Pierwszy element rekapitułuje skrótowo historię kościelnego nauczania o karze śmierci jako karze odpowiedniej do najcięższych przestępstw. Drugi element wskazuje na aspekty przemian w społecznych, które uzasadniają zmianę: najpierw upowszechnienie się świadomości, że osoba ludzka nigdy nie traci swojej osobowej godności, po wtóre głębsze zrozumienie sensu sankcji stosowanych w ramach systemu penitencjarnego państwa, które nie mogą nigdy być rodzajem zemsty i nie powinny zamykać przestępcy drogi do nawrócenia i poprawy oraz – co jest tutaj kluczowe – istnienie skutecznych możliwości ochrony obywateli przed przestępcami bez konieczności odbierania im życia. Trzeci element dokonanej korekty zawiera kluczowe zdanie, przywołujące wypowiedź papieża Franciszka z 2017 r.: *Dlatego też Kościół w świetle Ewangelii naucza, że „kara śmierci jest niedopuszczalna, ponieważ jest zamachem na nienaruszalność i godność osoby” i z determinacją angażuje się na rzecz jej zniesienia na całym świecie.*

Dokonana zmiana leży faktycznie na linii rozwoju nauczania Magisterium Kościoła i jest w zasadzie jeszcze wyraźniejszym wyakcentowaniem opartego na wierze w Chrystusa przekonania, że na obecnym poziomie rozwoju ludzkości kara śmierci rozumiana jako zwyczajny albo nawet jako nadzwyczajny element systemu penitencjarnego, nie da się pogodzić z przesłaniem Ewangelii.

Warto jednak podkreślić pewną istotną kwestię. Otóż nie powinno się zrównywać „nie” Kościoła wobec kary śmierci z kościelnym „nie” wobec aborcji. Bezpośrednia i zamierzona aborcja jest zawsze i w każdych okolicznościach ciężkim moralnym złem (w języku teologii moralnej mówi się o „złu samym w sobie” – *intrinsece malum*), które nigdy nie jest usprawiedliwione. Natomiast sprzeciw wobec kary śmierci – chociaż uzasadniony również szacunkiem dla życia i godności człowieka – jest powiązany z istnieniem wystarczających środków ochrony obywateli. Zrewidowany tekst Katechizmu stwierdza wprawdzie, że tak właśnie jest i dlatego kara śmierci może być określona jako niedopuszczalna. Nie oznacza to jednak, że nie może powtórzyć się sytuacja, do której nawiązywało dotychczasowe sformułowanie Katechizmu, a więc sytuacja, w której kara śmierci byłaby jedynym środkiem ochrony niewinnych przed niesprawiedliwym agresorem. Chociaż więc wprowadzona przez papieża Franciszka korekta dopowiada i rozwija wypowiedzi jego poprzedników, trudno mówić o radykalnej zmianie nauczania Kościoła w kwestii kary śmierci.

List do Ludu Bożego

W obliczu ujawnionych w różnych krajach przestępstw seksualnego wykorzystania dzieci i dorosłych przez duchownych papież Franciszek zwrócił się do wierzących w niecodziennej formie, mianowicie w formie listu do Ludu Bożego. Opublikowany 20 sierpnia 2018 r. dokument odzwierciedla wstrząs, jaki stał się udziałem wszystkich, którzy kochają Kościół i się z nim identyfikują. Chociaż chodzi o przestępstwa popełnione na przestrzeni szeregu dziesięcioleci, mimo to ich skala jest przygnębiająca. Uwaga papieża skierowana jest przede wszystkim ku ofiarom tych przestępstw. Franciszek z bólem i wstydem stwierdza, że *cierpienie tych ofiar to skarga, która wznosi się do nieba, dotycząca duszy, a która przez długi czas była ignorowana, ukrywana lub wyciszana*. Papież wzywa do rozpoznania i zdecydowanego potępienia przypadków wykorzystywania seksualnego, gdziekolwiek zostanie ono ujawnione. Jednocześnie wzywa do modlitwy i postu, które Jezus określił jako szczególnie skuteczne środki, by przeciwstawić się złu. Franciszek zwraca także uwagę na pewien istotny element, który powtarza się w wielu przypadkach wykorzystania seksualnego nie tylko nieletnich, ale także dorosłych (przypadki relacji homoseksualnych wśród duchownych). Jest nim niewłaściwy sposób rozumienia władzy w Kościele. Przypadki wykorzystania seksualnego to zawsze nadużycia władzy i sumienia. Z jednej strony chodzi o nadużycie zaufania, jakim wierzący zawsze darzyli osoby duchowne, z drugiej zaś o nieodpowiednie sprawowanie władzy u tych, którzy jako odpowiedzialni za Lud Boży powinni byli w porę rozpoznać zagrożenie i zdecydowanie na nie zareagować.

Byłoby oczywiście znacznym uproszczeniem, gdyby chciało się o zaistniałą sytuację obwiniać same struktury Kościoła i od samej ich reformy oczekiwać uzdrowienia sytuacji. Nie struktury grzeszą, ale zawsze pojedynczy ludzie. Owszem, struktury – jeżeli są nieprzejrzyste i wykrzywione – mogą sprzyjać tworzeniu niezdrowych relacji zależności, które są tym bardziej toksyczne, im bardziej poparte fałszywymi teologicznymi uzasadnieniami. Mimo to, nie one są ostateczną przyczyną zaistniałej sytuacji. Są nią postawy konkretnych ludzi.

Amerykański biskup Robert Barron ma niewątpliwie rację, gdy twierdzi, że u podstaw tych skandalicznych zachowań duchownych leżą trzy przyczyny: pierwsza to niewierność, druga to niewierność i wreszcie trzecia to niewierność. Brak wierności wobec Chrystusa,

wobec podjętych dobrowolnie zobowiązań i złożonych Bogu i Kościołowi przysięg i ślubów, zawsze prowadzi do katastrofalnych konsekwencji. Chwiejność kapłanów w ich wierności wobec Chrystusa została w tym wypadku, jak podkreśla biskup Barron, w mistrzowski sposób wykorzystana przez szatana. W oparciu o nią stało się możliwe uderzenie w Kościół, dokonane rękami samych duchownych, które nie tylko boleśnie gorszy i rozczarowuje wielu wierzących, ale także podminowuje same podstawy ewangelizacji. Skandale pedofilskie i homoseksualne sprawiają, że głoszenie Ewangelii przestaje być po prostu wiarygodne i sprawia, że głosiciele, zawstydzeni i zniechęceni, przestają ogłaszać zbawienie dokonane przez Chrystusa. Wiedzą o tym dobrze kapłani, szczególnie młodzi, którzy – by użyć tego porównania – na pierwszej linii frontu walki ze złem muszą zmagać się z oskarżeniami, które są kierowane bezpośrednio do nich, chociaż w ogromnej większości nie są sami w te skandale zamieszani. Grzechy niektórych, należące do szczególnie odrażających i ciężkich, plamią niestety każdą kapłańską sutannę tak skutecznie, że w niektórych środowiskach każdy, kto nosi strój kapłański, jest postrzegany jako jeden ze sprawców.

Milczenie kapłanów, które wydaje się naturalną reakcją wynikającą z poczucia wstydu i zażenowania, jest jednak dokładnie tym, czego oczekują wrogowie Kościoła. Gdy kapłani milczą, świat może być w niezakłócony sposób formatowany i przekształcany według nie-Bożych schematów i zasad. Kościołowi nie wolno zamilknąć – także w takiej chwili zawstydzienia i zamętu. Zło, które zostało popełnione przez duchownych, niezależnie od tego, jaki kolor sutanny noszą i jakie kościelne godności piastują, musi zostać oczywiście wypalone do żywego i usunięte z całą bezwzględnością. Bez tego kolejny kryzys będzie jedynie kwestią czasu. Zaistniała sytuacja pokazuje, do czego prowadzi miłosierdzie bez sprawiedliwości, pełna zrozumienia pobłażliwość bez jasnego nazwania grzechu po imieniu. Jednocześnie jednak nie wolno przestać głosić Ewangelii z całą swobodą i mimo wszelkich trudności. Trzeba zrobić wszystko, by obecne skandale nie odebrały wierzącym radości, jaka płynie z życia oddanego Chrystusowi oraz poczucia bezpieczeństwa, jaką daje wspólnota Kościoła.

Październik 2018

Kler Smarzowskiego

Co czuje katolicki ksiądz wychodząc z kina po obejrzeniu filmu „Kler” Wojciecha Smarzowskiego? Czuje się podle, odczuwa wstyd i przygnębienie, czuje się przybity i po prostu brudny. Tak, są w Kościele katolickim księża-pedofile, którzy popełniają te okropne zbrodnie na najbardziej niewinnych! Są tacy, którzy zdradzają swój celibat i prowadzą podwójne życie, w którym wzniosłym słowem na ambonie towarzyszy skrywana skrzętnie niemoralna relacja seksualna! Są księża karierowicze i intryganci! Są uwikłani w podejrzone interesy z polityką i biznesem! Są też tacy, dla których ważniejsze od Ewangelii są pieniądze! Są księża, którzy nawet w obecności swoich świeckich parafian klną bez żenady i opamiętania! Tak, są tacy księża! Chociaż są wąskim marginesem wśród duchownych, ich obecność w duszpasterstwie i kościelnych strukturach jest hańbą, która musi być powodem wstydu, ogromnego zażenowania, a w końcu i gniewu dla każdego, kto identyfikuje się z Kościołem. Smarzowski pokazuje kilka takich postaci w całej ich odrażającej brzydocie i moralnej nędzy. Pokazuje też rozmiar krzywdy, jaki wyrządzają. Widzowi mogą przyjść na myśl słowa Kardynała Josepha Ratzingera z nabożeństwa drogi krzyżowej w 2005, jaką odprawiał w rzymskim Koloseum pod nieobecność mocno już schorowanego Jana Pawła II: *Ile brudu jest w Kościele, i to właśnie wśród tych, którzy poprzez kapłaństwo powinni należeć całkowicie do Niego! Ileż pychy i samouwielbienia! [...] Przeraza nas brud na szacie i obliczu Twego Kościoła. Ale to my sami je zbrukaliśmy!* Świadomość tego, jak bardzo grzechy duchownych niszczą wiarygodność głoszonej Ewangelii, jest mocno przygnębiająca. Przygnębiający jest rozmiar zgorszenia, najpierw wobec tych najwierniejszych, którzy zaufali słowom kapłana, a ten potem ich zdradził. Wstrząsające jest też zgorszenie wobec niewierzących, dla których grzechy kapłańskie stanowią usprawiedliwienie dla ich własnej niewiary.

Ale to nie wszystko. Katolicki ksiądz wychodząc z kina po obejrzeniu filmu „Kler” czuje się też głęboko skrzywdzony. Nie ma on pretensji do reżysera, że wyraziście ukazał grzechy księży; jedyną reakcją na to może być jedynie pokorna gotowość do pokuty. Ma jednak pretensje, że przedstawiciel środowiska filmowego, które jest dumne z łamania stereotypów i przekraczania uprzedzeń, sam tworzy w tym filmie ohydny stereotyp i podsyca najgorsze uprzedzenia.

Całościowy obraz duchowieństwa (a już sam tytuł filmu taki zamiar twórcy sugeruje), który Smarzowski kreśli w swoim filmie, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Mimo tego, że przedstawione kapłańskie grzechy są niewątpliwie realne i kiedyś/gdzieś się wydarzyły, „Kler” nie jest filmem o klerze katolickim, ale o klerze Smarzowskiego. Film ten obnaża wyraziście uprzedzenia i antykatolickie fobie jego twórcy. W „Klerze” nie ma pozytywnych

przedstawicieli Kościoła. Jest bagno, w którym obok predatorów i krzywdzicieli, szantażystów i sitw złożonych z ugładzonych sługusów, są jedynie naiwni i użyteczni idioci. Do tego są jeszcze siostry zakonne zezwalające w podległych sobie placówkach na przemoc i gwałty wobec nieletnich. I nikt więcej. Przed oczami widza parady są najbardziej odrażające typy ucieleśniające moralne zepsucie, cynizm i jakie sobie tylko można wymyślić zło, które zostaje zestawione z twarzami ofiar, opowiadających, jak w dzieciństwie były molestowane przez duchownych. Najgorsze ze wszystkich i najbardziej moralnie zdeprawowane charaktery to ci, którzy mają władzę w Kościele (biskup) oraz ci, którzy są wysyłani do Watykanu, i którzy swój awans zawdzięczają umiejętnym intrygom.

Dla kogoś, kto ze zrozumiałym wzburzeniem ogląda sceny moralnego upadku, które są podlane obficie sosem sączących się w tle transmisji telewizyjnych z wypowiedziami hierarchów głoszących naukę Kościoła, postać księdza, szczególnie księdza głoszącego homilię, musi odtąd kojarzyć się z moralnym bagnem. Nie można oprzeć się wrażeniu, że film ma wdrukować pewne obrazy, schematy myślowe i skojarzenia, by ostatecznie obrzydzić widzowi wszystko, co jest związane z kapłańską sutanną. Owszem ksiądz oskarżony o pedofilię i jego kolega w sutannie mający kochankę, którą nakłania do dokonania aborcji jego dziecka, mogą nawet zyskać pewną sympatię widza. Dzieje się to jednak tylko dlatego, że sami są ofiarami systemu: są tacy, jacy są, bo zostali skrzywdzeni przez innych duchownych lub byli na tyle naiwni, by wierzyć w jakieś duchowe ideały.

Wyjaśnienia Smarzowskiego, że w swoim filmie nie chce atakować samej wiary, trzeba uznać za śmieszne. Scena przedstawiająca biskupa biesiadującego z tuzinem swoich pracowników kurialnych, przywołuje w wyobraźni niemal automatycznie obraz ostatniej wieczerzy, a jest tylko jedną ze scen, która sprowadza wiarę do prymitywnej gry żądz i intryg. Smarzowski zdaje się nie znać ofiarnych i oddanych kapłanów, służących ludziom, uczciwych, a przede wszystkim żyjących wiarą. Nie ma ich wśród głównych bohaterów, ale nie było ich także, jak sugeruje film, wcześniej. Uwidoczniony na dawnych taśmach z jakichś Mszy za Ojczyznę sprzed trzydziestu lat charyzmatyczny ksiądz przemawiający do ludzi z transparentami „Solidarności”, także okazuje się być pedofilem, który swoją małoletnią ofiarę straszy piekłem, gdyby zdradziła komuś, co ją spotkało. Reżyser nie chce słyszeć o tym, że skandaliczne grzechy, szczególnie grzechy pedofilii, są popełniane przez znikomą mniejszość duchownych. Tego typu wyjaśnienia są w filmie umiejętnie powiązane z najbardziej odrażającymi zachowaniami księży i przez to zdyskredytowane i unieważnione. Trudno też nie dostrzec ostatecznego przesłania, które Smarzowski sugeruje widzowi: tak dogłębnie moralnie

zdegradowany, mafijny system, jakim jest Kościół katolicki, nie ma prawa wypowiadać się na tematy moralne, nie ma prawa mówić publicznie o takich przewijających się w tle akcji filmu tematach, jak problem aborcji, in vitro czy moralności seksualnej,.

Co więc w sumie czuje katolicki ksiądz wychodząc z kina po obejrzeniu filmu „Kler”? Nie ma on wątpliwości, że to, co obejrzał, jest umiejętnie wyreżyserowaną, dobrze nakręconą i nieźle zagrąną antykatolicką agitką. Ale to stwierdzenie nie uspokaja wcale jego serca. Amunicji do tego ataku nie trzeba było długo szukać.

Listopad 2018

Dwa kazania

Kto oczekiwał, że w wydanych niedawno pod tytułem *Kazanie na Areopagu* niepublikowanych do tej pory zapiskach Karola Wojtyły odnajdzie jakieś sensacyjne wątki, będzie czuł się rozczarowany. Mimo to jest to publikacja niezwykła – i to nie tylko ze względu na swoją treść, ale także z racji okoliczności jej powstania. Perspektywa ponad pięćdziesięciu lat daje współczesnemu czytelnikowi unikalną możliwość towarzyszenia w pewnym etapie życia młodego polskiego biskupa, podniesionego co dopiero do godności arcybiskupa, który dał się poznać jako błyskotliwy umysł w czasie trwania Soboru Watykańskiego II, a wkrótce stanie się jedną z czołowych osobowości w najnowszej historii Kościoła.

Chociaż nie znamy dokładnej daty i miejsca powstania tych zapisków, to wskazują na rok 1965 (lub niedługo po nim), o czym zdają się świadczyć obfite cytaty z uchwalonych właśnie w tym roku dokumentów soborowych. Papier z włoskimi znakami wodnymi (wskazuje na to Marta Burghardt w *Komentarzu* do polskiego wydania tekstu), na którym Wojtyła zapisywał swoje katechezy, może sugerować Rzym jako prawdopodobne miejsce powstania. Szczegóły te nie są jednak tak istotne, jak szerszy kontekst tego dzieła oraz – jak się wydaje – daleki impuls do jego powstania, jakim był pobyt bpa Wojtyły na ateńskim Areopagu w grudniu 1963 r. Punktem wyjścia i wątkiem nieustannie się w katechezach przewijającym jest wydarzenie, jakie opisane jest w *Dziejach Apostolskich* i bywa określane jako mowa Pawła właśnie na Areopagu (Dz 17, 16-34). Z tej konfrontacji wiary chrześcijańskiej z ówczesną wysoką kulturą i filozofią pogańską, konfrontacji w przypadku Pawła ostatecznie niezbyt udanej, rodzi się w pierwszych wiekach chrześcijaństwa wielka synteza kulturowa, której ostatecznym owocem będzie chrześcijańska Europa. Nie zrzekając się niczego z nowości i siły Ewangelii oraz

dziedzictwa dawnego Izraela, Kościół pierwszych wieków będzie w stanie oczyścić i zasymilować najlepsze pierwiastki myśli, wiedzy, kultury i porządku społecznego starożytnej Grecji oraz dawnego Rzymu, tworząc całkowicie nową jakość.

Kiedy arcybiskup Wojtyła formułuje swoje trzynaste katechez, historia zdaje się zataczać wielkie koło: Ewangelia jest na nowo konfrontowana ze światem, który jest coraz bardziej kształtowany według innej, nieewangelicznej miary, chociaż wyrasta przecież z chrześcijańskich korzeni. W tej sytuacji Kościół pragnie otworzyć się na nowo na dialog z różnymi nurtami współczesności. Zwołany przez Jana XXIII II Sobór Watykański wyzwala niezwykłą falę optymizmu i nadziei, że nowa synteza na miarę współczesności jest możliwa, a opublikowane co dopiero dokumenty, szczególnie deklaracja soborowa o stosunku do religii niechrześcijańskich *Nostra aetate* oraz Konstytucja soborowa o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes* zdają się otwierać zupełnie nowy rozdział w jego historii i historii całej ludzkości. W tej wyjątkowej dziejowej chwili, przywołując ową pierwszą mowę św. Pawła w Atenach, Wojtyła komponuje swoje własne „kazanie na Areopagu”, przy czym nazwa ta bardziej niż na historyczne miejsce czci dawnych bogów staje się tu symbolem współczesnych sporów o rzeczy najważniejsze.

Lektura trzynastu katechez Karola Wojtyły nie jest rzeczą łatwą. Ich autor wymaga od swojego czytelnika cierpliwości i wejścia w głąb. Niepiesznie smakuje fragmenty Pawłowej mowy z Dziejów Apostolskich, rozważając ją w świetle innych tekstów biblijnych, a także co dopiero ogłoszonych tekstów soborowych i odnosząc do fundamentalnych pytań człowieka oraz wyzwań, jakie ujawniają się przed ludzkością. Rozwija przed słuchaczem główne wątki teologicznego obrazu świata oraz prawdy o Bogu, którego istnienie przeczuwali ludzie sprawiedliwi od zarania ludzkości, a który w Jezusie Chrystusie daje się ostatecznie poznać człowiekowi. W świetle ostatecznej Prawdy odsłania się także prawda o człowieku, jego istocie i przeznaczeniu, a w końcu także prawda o życiu chrześcijańskim oraz wspólnocie Kościoła. Autor trzynastu katechez nie pozostaje na powierzchni, ale sięga do rzeczy fundamentalnych: *Bóg zadał człowiekowi – jako osobie i jako wspólnotom, jako każdemu i jako wszystkim – tę rzeczywistość, która nosi nazwę „świat”, pod kątem dobra. Zadał Stwórca każdemu z nas człowieczeństwo własne i cudze, pod kątem dobra. Zadał więc – przez prawdę i o dobru. A ta prawda sięga ostatecznie Boga Samego, który jest Pełnią Dobra, jak o tym świadczy największe przykazanie Ewangelii: będziesz miłował. Kto zna późniejsze tekstu Jana Pawła II, odnajdzie w tych zapiskach pierwsze zwiastuny i intuicje późniejszych papieskich*

homilii i wypowiedzi, które w takich dokumentach, jak np. pierwsza encyklika polskiego Papieża II *Redemptor hominis* znajdują swój pogłębiony wyraz.

Nie wiadomo, do kogo miały być skierowane te katechezy, które prawdopodobnie nigdy nie zostały rzeczywiście wygłoszone. Dzisiaj ukazują się nam one jako coś w rodzaju brudnopisu, szkicu kluczowych wątków przyszłego papieskiego nauczania Jana Pawła II. Dla nas czytających te zapiski po z górą pięćdziesięciu latach stanowią one unikalną okazję wejścia w wewnętrzny świat człowieka, który za kilka dziesięcioleci stanie się świętym i znakiem nadziei i wartości wiary dla milionów wierzących w Chrystusa.

Grudzień 2018

„Uważajcie na siebie...” (Łk 21, 34)

Tegoroczny adwent rozpoczyna się mocnym akcentem. Wielu słuchaczom słowa Bożego na niedzielnej Eucharystii w pierwszą niedzielę tegorocznego adwentu to Jezusowe napomnienie może się wydawać niesprawiedliwe i raniące: „Uważajcie na siebie, aby wasze serca nie były ociążałe na skutek obżarstwa, pijaństwa i trosk doczesnych”. Kto nie czuje, że to zdanie w jakimkolwiek sensie odnosi się do niego, niech spróbuje potraktować słowa Jezusa jako symboliczny opis pewnej postawy, która jest bardzo mocno rozpowszechniona: postawy zachłanności w korzystaniu ze świata. Nawet jeżeli taka postawa zachłanności nie prowadzi do obżarstwa czy pijaństwa, naznacza ona całe życie silnym napięciem, a podtrzymywana przez lata wykształca w umyśle fatalną wrażliwość. Pod jej wpływem wszystko, co dotyczy konsumpcji wysuwa się na pierwszy plan, otrzymuje znaczenie priorytetowe. Z morza informacji, które zalewa codziennie umysł, człowiek z łatwością wyławia to, co dotyczy dóbr konsumpcyjnych, specjalnych, nie tylko przedsięwziętych, promocji i nowych modeli urządzeń, którymi się posługujemy. Dzieje się tak, jakby człowiekowi założono specjalne okulary, przez które informacje dotyczące dóbr konsumpcyjnych zdają się jarzyć fosforyzującym blaskiem, a wszystko inne niknie w szarości. Nikną w szarości także te naprawdę ważne informacje, które dotyczą życia duchowego, podstawowych pytań o sens życia, o relację z Bogiem, o prawdziwą jakość życia, której nie da się potraktować i zdobyć w ten sam sposób, w jaki zdobywa się dobra konsumpcyjne. Owszem, człowiek nie rezygnuje jeszcze z relacji w Bogiem, ale traktuje ją w kategoriach „obsługi”, która – jak obsługa niewygodnego kredytu – uwiera, powoduje uczucie znużenia i tę ociążałość serca, o której

mówi Jezus. Jezus używa tu słowa *bareo*, które oznacza obciążenie. Obciążone troskami doczesnymi serce, czyli samo centrum ludzkiej świadomości, nie ma ochoty zajmować się niczym innym, bo cała uwaga i wszystkie siły są już zainwestowane.

Jednym z czynników, które przyczyniają się do takiego obciążenia serca, czyli duchowego centrum osoby, jest bez wątpienia przyjmowanie bez sprzeciwu roli konsumenta, która zdaje się definiować istotę człowieczeństwa. Kto nie chce ulegać wszechobecnej zachęcie do konsumpcji najnowszych rzeczy i ofert – począwszy od sprzętów codziennego lub odświętnego użytku, poprzez rozrywkę, aż po wytwory współczesnej kultury – ten odnosi wrażenie bycia jakby poza głównym nurtem życia; czuje się jak ktoś, kto wbiegłszy na peron widzi jedynie czerwone światła ostatniego wagonu pociągu, który właśnie odjeżdża.

Można jednak zadać krytyczne pytanie: czy to znaczy, że chrześcijanin musi odnosić się do postępu i do nowoczesności z wieczną podejrzliwością? Czy to, co chrześcijańskie musi być niedzisiejsze, szarobure, przaśne i nieporadne? Oczywiście, że nie. Dobra, które określamy jako doczesne, również te najnowocześniejsze sprzęty i wytwory ludzkiej myśli – jeżeli tylko jest to myśl pełna pogardy dla człowieka – nie muszą być same w sobie złe. Problem może się pojawić się na płaszczyźnie odniesienia do nich. Wszystkie te dobra są dla ludzi, szczególnie jeżeli ułatwiają życie, pomagają w szarej codzienności, zapewniają godziwą rozrywkę, uczą, zaspokajają pragnienie wiedzy i ciekawość świata. Można do nich odnieść słowa wypowiedziane w ogrodzie Eden do pierwszego człowieka: *Z wszelkiego drzewa tego ogrodu możesz spożywać według upodobania* (Rdz 2, 17). Gdy jednak przez zachłanność utracona zostanie właściwa miara konsumpcji, całe to dobro obraca się przeciw człowiekowi. Zachłanność i łapczywość prowadzi do niestrawności – nie tylko w odniesieniu do jedzenia.

Jezus nie ogranicza się do ostrzeżenia przed pozbawioną miary łapczywością, ale daje także praktyczną radę: „Czuwajcie i módlcie się”. Ta fraza brzmi jak wytarty slogan, ale jest to nic innego, jak zachęta do świadomego życia. Postawa konsumenta jest związana z pogonią, a więc z brakiem czasu. Świadome życie jest niemożliwe, bez umiejętności znajdowania codziennie czasu, by się zatrzymać. Uświadomienie sobie, że jakość mojego życia nie zależy od tego, ile zdołam skosztować, sprawia, że nagle – mimo wszystkich codziennych prac, które rzeczywiście muszą być zrobione – pojawia się ta odrobina czasu, którą można poświęcić Bogu, a przebywając w Jego obecności – także sobie. Zatrzymać się, by pobyc dłuższą chwilę z Bogiem, oznacza także pobyc odrobinę ze sobą, zajrzeć w głąb siebie, spojrzeć wstecz na dzień, który minął i oddać go takim, jaki był – nawet, jeśli był jedną wielką katastrofą – w miłosierne dłonie Boga, ufając, że On otwiera dla mnie nowy dzień, w którym wszystko jest jeszcze do

wygrania. Ta umiejętność znajdowania czasu na zatrzymanie się, która stała się dzisiaj niemalże sztuką, jest absolutnie niezbędna. Straty, jakie powoduje jej brak są zbyt poważne, by wezwanie Jezusa zlekceważyć i odłożyć na przyszłoroczny adwent.

Ks. Marian Machinek MSF